

To nie był pierwszy lepszy dziad, to był sevre'owy wzorzec dziada. Jednonożny, rozlazły niczym brzuch wieloródki, szerokożuchwiasty, zaopatrzony w macki, których nie powstydzilaby się żadna ośmiornica, macki, wyrzucane ze zdublowanego cyklopowego oka, głęboko osadzonego w prymitywnie wystruganej czaszce, o twarzy zszarzałej, ziemistej, kostropatością swoją zawodzącej kantonady żałobne, fizjonomią - rozgrywającej wszelkie odmiany złości. Sztukmistrz upierdliwości - tak zwykliśmy niegdyś nazywać Przybyłka. Przybywał w najmniej spodziewanych momentach, walił w drzwi, a futryny podrygiwały w takt kresek i kropek, wydłutowywanych przez jego pięści. Taki miał styl. Alfabetu Morse'a nauczył się w powiatowej szkółce ORMÓ, gdzie przez kilka dobrych lat szlifował umiejętności interpersonalne, rozwijając muskulaturę i ogólną wiedzę o społeczeństwie socjalistycznym. Nigdy nie chwalił się tym, kogo, gdzie i z jakiego powodu spałował, zresztą, powód - stanowił w jego ocenie najmniej ważny element pałownictwa. Liczyła się ilość, norma. Podziwialiśmy Przybyłka, nie za jego ideologiczne zaangażowanie, ile za ową ponadnormatywną stachanowską uważność, akuratność, za nieprawdopodobną wręcz umiejętność zafiksowania na problemie. Nieważne kim był bity, nie miało znaczenia za co był bity - najważniejsze było to, by bić go dobrze, zgodnie z zasadami sztuki, metodycznie i skutecznie. Pod pewnymi względami Przybyłek podobny był Ojcom Kościoła. Nie zawracał sobie głowy eschatologicznymi niuansami, bo dowód istniał sam w sobie dzięki swojemu istnieniu. Bić , to bić - powiadał - i było w tym coś hamletowskiego. Oczywiście.

A potem stracił nogę. Niektórzy mówili, że była to zemsta doktora Stacha, wiecznie nawalonego jak stodoła miejscowego chirurga, zemsta za spałowanie chrześniakowego tyłka, kiedyś, w którąś z wigilijnych nocy stanu wojennego, sam Przybyłek nie potwierdził, ani nie zaprzeczył, w końcu - co tu było zaprzeczać - jak się gówniarz napatoczył, to i pewnie oberwał. Zresztą - mogłoby być gorzej, obić ryja dentystycznemu miotowi - to byłaby dopiero tragedia.

Wraz z odrąbaną kończyną, odpłynęły macewy, a gumowe przedłużenie ludowej władzy utkwilo gdzieś na dnie posterunkowej szafy, trzeba było zacząć kumbinować. W tej konkurencji. Przybyłek nie miał sobie równych. Do komitetu miejskiego potrafił, w południe, na jednej nodze, wejść, niezauważony, bezszelestnie przeszedłszy przez ściany, pojawiał się w gabinecie Pierwszego jak mroczne widmo, żądając dodatkowych przywilejów, które z reguły dostawał natychmiast. I tak, jedyny inwalida w mieście, stał się posiadaczem trójkołowego smoka - dziwnego skrzyżowania roweru z meleksem - dzieła technicznej myśli zaprzyjaźnionych inżynierów z Jugosławii. Władze krajów demokracji ludowej dbały bowiem o jednonożnych, otaczały ich szczególną opieką, dopieszczały nowinkami technicznymi, słowem - marzeniem każdego dwunożnego powinno być: choć na chwilę przeistoczyć się w monopoda, zachłysnąć się dobrodziejstwem wszechogarniającej partyjnej empatii, zostać beneficjentem decydenckiego współczucia.

"Przysięgam - fascynował mnie ten wóz, nie dane mi było jednak zakosztować uroków podróżowania, nie dostąpiłem rozkoszy gnienienia tapicerki, dotykania sprzęgła i tych wszystkich dewiacji, którym podporządkowany jest młody męski umysł. Kiedy, po raz pierwszy i ostatni zarazem (na więcej się nie odważyłem) zapytałem właściciela owego wehikułu, czy mógłbym choć przez chwilę pobyc w nim sam na sam, odparł:

- Nie. Gdyby ci ucięli nogę to proszę bardzo, ale dopóki nie utną, to mowy nie ma.

Niezaprzeczalna wyższość amputantów stała się od tego momentu głównym motorem przyszłych moich młodzińskich frustracji. Wówczas jednak, widząc jeszcze jakąś szansę, postanowiłem jak najszybciej rozwiązać kwestię mojego dwukończynowego nieszczęścia, i, pojawiwszy się w lekarskiej dyżurce szpitala, zajmującego całą przeciwległą stronę mojej rodzinnej ulicy, zażądałem natychmiastowego ucięcia mi nogi. Akcja nie zaczęła się jeszcze na dobre, a już - zdechła - jak zwykle - w babcinej kuchni,

dokąd, za włosy - dotarł mnie, dziwnie trzeźwy, doktor Stach."

Kumbinowanie przybyłkowe stanowiło niepodważalną wartość, było sztuką doskonałą. Kumbinować - znaczyło: zdobywać, za wszelką cenę, zawsze i w każdym możliwym miejscu, wyłuszczyć co się da, bez względu na wzgląd i oglądania się na innych: sklep, stragan, związki zawodowe, partyjny komitet, opieka społeczna - wszystkie te i wiele innych miejsc nawiedzał w poszukiwaniu darmowych dóbr - owoców strachu przed ostateczną bezwzględnością jednonogiego Golema, upierdliwego ponad miarę - lecz - skutecznego, jak nikt inny. Bezzwrotne pożyczki, mięcha, warzywa i świeże owoce, zapomogi, renty, nawet części do trójkołowca (które nie wiadomo skąd, kto i w jaki sposób importował, a może wymontowywał z innych, jugosłowiańskich, dzięki czemu chromi tambylcy byli zmuszeni używać do transportu osłów) - wszystko to były fanty, którymi obdarowany z nikim nigdy się nie dzielił, owszem, chwalił się za każdym razem, gdy udało mu się cokolwiek upolować, ale, żeby przy okazji wspomóc bliźniego- co to to nie.

- Sami sobie załatwcie - mówił, ale, choćby człowiek od samego rana klęczał na magistratowej wycieraczce, policzkami wycierał podłogę w komitecie miejskim, kłaniał się w pas sklepowej - nic nie zwojował. A jemu - zawsze się udawało.

- Dziadostwo - powtarzała babcia, za każdym razem, gdy rozlegało się futrynowe dudnienie - dziadostwo, bo wszystko to jest dziadostwo!

"Słowo - klucz, magiczne, nierozłożone przez ograniczonych mentalnie językoznawców. Graal. Kropka. Alfa i Omega ówczesnej filologii. Kamień węgielny pod wieżą Babel. A słowo ciałem stawało się, niemal codziennie - kiedy lepkie ślepia jednonogiego Golema chwyciły co popadnie: domowe sprzęty, które, w porównaniu z dniem poprzednim, zmieniły miejsce, garnki, stojące na kuchennej płycie - prześwidrowane na wylot, ich wnętrza - przeanalizowane spektrometrycznie, golemowe gały kradły co popadnie: wyrazy twarzy domowników, gesty - ich niezliczoną ilość: półgesty, machnięcia, skrzywienia, poruszenia, a wszystko to - skłcone do kupy, przetrawione w neuronach kojarzeniowych - pozwalało właścicielowi owych oślizgłych oczu, uzyskać przewagę, a doskonałe latami umiejętności śledczego, umożliwiały mu ocenę sytuacji, każdorazowo - słuszną i niepodważalną."

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

dr_brunet, dodano 26.06.2012 19:17

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.